

ALEXANDER KRAUSHAR.

MISCELLANEA HISTORYCZNE.

T. 50. L.

IMĆ PAN

CZEŚNIKIEWICZ - MINISZEWSKI

(1823-1863)

(ECHA WSPOMNIENI Z LAT 1861—1863.)



WARSZAWA.

NAKŁADEM „PRZEGLĄDU NARODOWEGO“.

1912.

Kraushar. A. - Imć Pan Cześnikiewicz



ALEXANDER KRAUSHAR.

MISCELLANEA HISTORYCZNE.

L.

IMĆ PAN

CZEŚNIKIEWICZ - MINISZEWSKI

(ECHA WSPOMNIENI Z LAT 1861—1863.)



1. Wielopolski, Aleksander (1803-1877)
1. Józef Aleks Miniszewski (1823-1863)
2. Polska - 1800. - Znaczenie
4. Publicystyka polska

WARSZAWA.

NAKŁADEM „PRZEGLĄDU NARODOWEGO“.

1912.

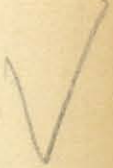


K-1341/92

Slol



132425



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku

FUW0408349

Druk F. Wyszynskiego i S-ki, Zgoda Nr. 5.

30575

Spotykaliśmy często, młodzieniaszkowie w latach zawieruchy, nietyłe sławnego, ile osławionego w owe czasy autora „Listów Cześnikiewicza do Marszałka“, powszechnie nielubianego, a chciwie czytanego, Józefa Aleksandra Miniszewskiego, którego kaprys losu rzucił w wir szermierki publicystycznej, związanej z tragicznym ruchem narodowym, a który był raczej stworzony do roli sejmikowego rębajły z czasów saskich Augustów.

Niepomiernie wysokiego wzrostu, kościsty, o twarzy niesympatycznej, uwydatnionej niezwykle wielkim, nieco w górę zadartym nosem, krzykliwy, zawadyacki, zuchwale w twarz przechodniów ulicznych wpatrujący się i wymachujący jakby dla przestrogi grubą, sękatą laską, snuł się Imć pan Cześnikiewicz po ulicach Warszawy, w wysokim na wyłysiałej czaszce cylindrze, który po wypadkach lutowych 1861 r. był uważany za symbol pogodzonego z losem biurokratyzmu, w oczach zaś wszechwładnej młodzieży—za symbol wyzywającego protestu przeciw proklamowanej ogólnie żalobie narodowej.

Wynurzył się Miniszewski w roku 1861 na nowo, po krótkiej przerwie w swej pracy dziennikarskiej, prowadzonej pod sterem Aleksandra Niewiarowskiego, nim *Gazeta Codzienna* przeszła w ręce Kraszewskiego, i zajął wybitniejsze stanowisko w redakcyi *Dziennika Powszechnego*, zmienionego w październiku 1861 r. z dawniej *Gazety Rządowej* na rodzaj „Monitora“ urzędowego, organ rządu krajowego i górnych zamierzeń prawodawczych ówczesnego nie naczelnika jeszcze rządu, lecz już jego kierownika, margrabiego Wielopolskiego.

Pomimo, że od owych wypadków, których jeden tylko epizod w niniejszym zarysie ma być przypomniany, upłynęło z okładem lat pięćdziesiąt — okres wystarczający dla objek-



tywnego sądu o ludziach i rzeczach minionych—niełatwo sobie wyjaśnić dziwny stosunek górującej postaci statysty i obywatela, jaką był Wielopolski, do figury szarej, w opinii ogółu mało cenionej, a nawet ośmieszanej, jaką był Miniszewski.

Nawet zgon tragiczny, pod ciosami skrytobójczego sztyletu, owego publicyisty nie wywołał swego czasu żalu nad nieszczęśliwą namiętności politycznych ofiarą.

Uważano zawsze Miniszewskiego za żonglera, niesłychanie zręcznie operującego rzutami obywatelskich poglądów i myśli, którym, być może, w głębi duszy szczerze nie holdował. Artykułom jego, poświęconym sprawie publicznej, okraszonym barwą patriotyzmu i dążności do reformy obyczajów, artykułom, któreby i dziś nawet, bez jego podpisu, mogły figurować na szpaltach każdego uczciwego organu dziennikarskiego, nie przypisywano poważnego znaczenia. Budziły one niesmak, jątrzyły, a co więcej, szkodziły dziełu margrabiemu. Płynąc opornie przeciw fali opinii, podnieconej biegiem rozwijających się i fatalnie do katastrofy zmierzających wypadków, dawały one jedynie świadectwo odwadze osobistej i cywilnej publicyisty, lecz nie wpływały dodatnio na jednanie Wielopolskiemu zwolenników.

Przydomek, przyczepiony do nazwiska Miniszewskiego jeszcze w roku 1858, przez wydawane podówczas pod redakcją Janka z Bielca (Gregorowicza) i Lewestama świstki ulotne pod tyt. „Wolne żarty“, pozostał w pamięci całego pokolenia, jako symbol niezatarty działalności inkryminowanego pisarza. „Blagier-wyjec *Bombardon micetes*“ — oto był podpis pod rysunkiem Kostrzewskiego (serya III, zes. III, str. 176 z r. 1858), przedstawiający karykaturę Imc pana Cześnikiewicza, w postaci jakiegoś apokaliptycznego zwierza.

Odtąd nikt inaczej Miniszewskiego nie nazywał. Przypomniało ów przydomek po katastrofie 2 maja 1863 roku, która przyniosła śmierć Miniszewskiemu, czasopismo podziemne Wołodego Skiby — *Prawda*, w jedynym nekrologu, poświęconym zgryźliwemi słowy ofierze, gdzie niesmacznie się wyrażono, iż Miniszewski, konając, „przeżegnał świat nogami“.

\*

Trudny w owej chwili do wytłumaczenia powód, który skłonił margrabię do powierzenia tyle ważnej roli komentatora swych politycznych dla kraju zamierzeń nielubianemu

przez ogół dziennikarzowi, znajduje wyjaśnienie, możliwe zasadne, w stosunku Wielopolskiego do ówczesnej prasy warszawskiej.

Prasa owa, reprezentowana przez pisarzy dawnego autoramentu, na której czele stali kierownicy najwplywowszych podówczas gazet: *Polskiej*, *Warszawskiej* i *Kuryera Warszawskiego*, była wręcz niechętna margrabiemu. Zraził ją Wielopolski wzdurliwym traktowaniem opinii publicznej, a na domiar—zakazem zamieszczania tak zwanych „artykułów wstępnych“, które po wypadkach lutowych 1861 r., po długoletniej przerwie, stałe zaczęły się ukazywać na czele pism codziennych. Obrażone w swej ambicji dziennikarstwo warszawskie zacięło się i, na przekór margrabiemu, w czasach gorączkowego wyczekiwania reform w administracji wewnętrznej kraju, jęło się traktowania obojętnych dla kraju naszego wypadków wielkiej polityki europejskiej, jak za smutnej pamięci rządów paskiewiczowskich.

Taktyka owa w pewnej mierze poskutkowała. Widząc, że bez udziału dziennikarstwa krajowego, życzliwie dla podjętych reform usposobionego, sprawa publiczna szwankować będzie, skłonił się margrabia do warunkowego cofnięcia zakazu i w swoim organie urzędowym wyciągnął do redaktorów dłoń pojednawczą.

Oto myśli, niewątpliwie przez samego Wielopolskiego podyktowane, w № 204 *Dziennika Powszechnego* z r. 1862:

„Przed niedawnym czasem dzienniki warszawskie usilnie i głośno domagały się pozwolenia pisania o sprawach wewnętrznych kraju, jego administracji, potrzebach i t. d. i utrzymywały, iż czytelników wcale nie zadowalniają chociażby obszernie rozprawy polityczne, skoro pole najżywotniejszych prac, około dobra własnego kraju przedsiębranych, jest dla nich zamknięte. Zgodnie z takim dążeniem naszej prasy, a nawet dla dania ku temu potrzebnej inicjatywy, *Gazeta Rządowa* przeobrażoną została w roku zeszłym na *Dziennik Powszechny*, w którym zaczęto ogłaszać artykuły i rozprawy o przedmiotach i najważniejszych kwestiach, wewnętrznego zarządu kraju dotyczących. Jakoż, dzienniki prywatne z radością wówczas powitały tę zmianę i zaraz w znacznej części weszły na drogę użytecznego spraw krajowych rozbiuro. Wszakże niedługo zabrakło im wytrwałości i, czy to z przyczyny nacisku łękliwej i obałamuczonej opinii, czyli też dla niedostatku potrzebnych do tego studyów, wkrótce opuściły tak pożądane przedtem dla nich pole i znowu wróciły się do



artykułów i rozpraw o polityce zagranicznej, które w ostatnich czasach przybrały jeszcze charakter, dla stosunków w Królestwie pod wielą względami drażliwy. Gdy nadto ludzie niechętni taki kierunek prasy przypisywali ścieśnieniu jej swobody pod względem możności rozbioru kwestyi wewnętrznych, co przymuszać miało redakcyę do przerwania się na obszary polityki zagranicznej, władza przeto rządowa, do której to należy, widząc, iż samo zachęcanie przykładem nie przynosi skutku, poleciła cenzurze, aby, zostawiając zawsze swobodę rozbioru przedmiotów wewnętrznych, zarządu kraju dotyczących, i nie wyłączając od tego rozpraw z dziennikami zagranicznymi o stosunkach tutejszych, wzbronila, aż do dalszego rozporządzenia, artykułów bądź wstępnych, bądź innych rozumowanych, o polityce zagranicznej, co wszakże nie ma tamować dziennikom możności ogłaszania wiadomości o wypadkach w obcych krajach, z powołaniem źródeł tychże doniesień.

„Czy środek ten zdoła wyprowadzić dzienniki warszawskie z błędnego koła? Czy zechcą one pojąć i przyjąć za zasadę postępowania, że najświetniejsze sprawy zagraniczne gasną wobec potrzeb i zadań ojczystych? — to przyszłość pokaze. W każdym jednak razie, do dalszego powstrzymywania się w tej mierze naszej prasy, przeszkody cenzuralne nie mogą służyć za wymówkę jej kierownikom, zwłaszcza gdy im po temu na zdolnościach dziennikarskich nie zbywa“.

\*

Nie trzeba być ani psychologiem, ani politykiem, aby uznać, że tego rodzaju pedagogiczno-patryotyczna połajanka, udzielona przez margrabiego pełnoletnim, bądź co bądź, dziennikarzom warszawskim, a zwłaszcza nauczka im dana, by się sprawami ojczymi, więcej niż polityką zagraniczną, interesowali, nie mogła wpłynąć pojednawczo na ich odporne względem Wielopolskiego stanowisko. Był to więc błąd taktyczny ze strony niepospolitego statysty, był przejawem jego charakteru, niezdolnego do kompromisów z ludźmi i okolicznościami. Dzieje narodów świadczą wprawdzie, iż tylko tacy, wierzący w moc swoją, w swą mądrość i znajomość celów państwowych ludzie — tworzą dzieła nieśmiertelne, godne podziwu i uznania pokoleń następnych, ale żyjące pokolenie rzadko się godzi z naukami i przestrogią żyjących swych kierowników. Pragnie ono mieć również zdanie własne i własny punkt widzenia co do najnagleszych potrzeb i przyszłości

społeczeństwa. Nie mogąc ich objawić, zamyka się czasowo w sobie, milczy, aby przy sposobności wybuchnąć całą siłą zarzutów, w formie nieumiarkowanej.

Skazane na milczenie i dotknięte połajanką, dziennikarstwo warszawskie ponownie zacięło się i swej niechętniej względem margrabiego nie porzuciło taktyki. Następstwem owej głuchej walki było to, że dla historyka tej epoki dziennikarstwo warszawskie prywatne nie może być źródłem informacyjnym, że chcąc poznać dokładnie dzieje wewnętrzne owej epoki, całą rozległą pracę około reform, podjętych przez Wielopolskiego w dziedzinie oświecenia publicznego, administracyi wewnętrznej i sądownictwa, historyk — z konieczności zwrócić się musi do jedynego zwierciadła, w którym się owe przełomowe odbijały wydarzenia — do organu urzędowego margrabiego, *Dziennika Powszechnego*.

Nietylko strona zewnętrzna wypadków ówczesnych znalazła na łamach owego pisma wyraziste swe odbicie. *Dziennik Powszechny* z lat 1861/2 aż do połowy 1863 był istotnie jednym z najlepiej w ówczesnej prasie europejskiej redagowanych pism codziennych. Bogactwem materiału, powagą zdania i uwzględnieniem wszystkich dziedzin politycznego i społecznego życia narodu, współpracownictwem statystów, profesorów i specjalistów w zakresie nauk ekonomiczno-politycznych — mógł iść w zawody z pierwszorzędnymi organami prasy francuskiej i angielskiej; przewyższał zaś czasopisma miejscowe możliwością zabierania głosu we wszystkich wogóle sprawach, czerpiąc bezpośrednio materiał informacyjny ze źródła najpewniejszego, bo od głównego tychże spraw inicjatora.

Znajdujemy na szpaltach *Dziennika Powszechnego* najgłośniejsze i najpoważniejsze w owej epoce nazwiska, pod artykułami, w sposób wyczerpujący traktującymi przedmioty z dziedziny historii polskiej, powszechnej, archeologii, prawoznawstwa, nauk przyrodniczych i ekonomicznych. Maciejowski, Bartoszewicz, Papłoński, Plebański, Dutkiewicz, Skłodowski, Korzeniowski, Sobieszkański, Wyziński, Boczyliński i wielu innych mężów głębokiej nauki, składało zastęp stałych pracowników tego organu. Wiele prac ogłoszonych w tem piśmie pozostawiło po sobie pamięć trwalszą; z nich przytoczymy tu udośćpniony ogółowi po raz pierwszy drukiem opis zabytków archeologicznych, znajdujących się na terytorium Królestwa, według sprawozdania komisji archeolo-



gicznej, wyznaczonej do objazdu kraju przez b. Radę Administracyjną.

W takiej formie i w takim duchu redagowany *Dziennik* był przecież dostępny jedynie specjalistom w różnych dziedzinach wiedzy, ale, pomijając już tendencję jego, nie liczącą z ogólnym nastrojem umysłów, rozgorączkowanych pragnieniem zmian politycznych w kraju, odstręczał szeroki ogół czytelników nadmiernym balastem naukowym.

Margrabia Wielopolski, niegdyś redaktor *Zjednoczenia*, organu Rządu narodowego w czasach listopadowych, znanego z polemiczno-satyrycznego nastroju, wiedział dobrze, że dla oddziaływania na umysły czytelników nie wystarcza powaga nauki, lecz że częstokroć, jeśli nie zawsze, donioślejszy wpływ na opinię mają artykuły, pisane z zacięciem polemicznym, poruszające wszelkie zagadnienia życia społecznego, pisane językiem barwnym, stylem potoczystym, w formie popularnej, dostępnej szerszym kołom czytelników. „Ciężka artyleria“ uczonych, reprezentowana przez współpracowników *Dziennika*, takiemu zadaniu sprostać nie mogła.

Szukał tedy margrabia w kołach ówczesnych felietonistów warszawskich pisarza, któryby się podjął misji przemawiania do ogółu w formie dostępniejszej artykułów satyryczno-polemicznych, misji nawoływania społeczeństwa do umiarkowania, do liczenia się z warunkami politycznymi, nie pozwalającymi na zbyt wygórowane aspiracje.

Niełatwo jednak było podówczas w kołach literackich znaleźć podatną po temu osobistość. O ile współpracownictwo profesorów i specjalistów w organie urzędowym usprawiedliwiał ich stosunek do ówczesnej władzy krajowej, reprezentowanej przez żywiły miejscowe, o tyle był trudny wybór literata felietonisty, mającego dosyć odwagi cywilnej, by z narażeniem się rozgorączkowanej opinii stanąć z odkrytą przyłbicą do walki z panującym nastrojem.

\*

W takichto warunkach nastęrczył margrabiemu swoje usługi rozgłośny publicysta, autor popularnych swego czasu „Listów Cześnikiewicza do Marszałka“, Józef Aleksander Miniszewski. Jako talent pisarski niepowszedni, miał Miniszewski (ur. w r. 1823) w swoim tobołku literackim, oprócz owych „Listów“, kilka powieści popularnych dawniejszych: „Jan Pieniążek“, „Jadź wingowie“, „Legenda o królu Lechu“, znał popularne

dzieje krajowe, opisane w „Domowej Zagrodzie“ pod pseudonimem Starzy, pisał „O hetmanie Żółkiewskim“, ogłosił „Galeryę obrazów szlacheckich“, dowcipne opowiadania: „Hipoteka szczęścia małżeńskiego“, „Życie w parafii“, „Grzechy powszednie“. Szlachcic z urodzenia, znał dokładnie sferę, z której był wyszedł, umiał przemawiać rubasznie, ze staropolskiem zacięciem, i temi zaletami zjednał sobie szerokie koła czytelników.

Nie kojarzyły się z owemi zaletami właściwości charakteru głośnego publicysty. Zarzucano mu, słusznie czy niesłusznie, sprawy niezbyt etyczne, nie wierzono w szczerość jego przekonań. Jest to niewątpliwie jeden z dodatnich rysów opinii ogółu o zadaniach każdego publicysty, że, ceniąc wysoko talent i sprawność pisarską, opinia ta pragnie, by w parze z owemi zaletami szły zawsze: bezwarunkowa czystość dążeń i uczynki, zgodne z kodeksem moralności towarzyskiej. Pisarz, który tych zalet nie posiada, może swoim talentem budzić podziw, ale szacunku dla siebie i dla swoich, sławiących cnotę, edukacyj, nigdy nie zyszcze. Do apostoła patryotycznych obowiązków, do kaznodziei, prawdziwego o wielkich zadaniach obywatela, trzeba koniecznie mieć wiarę, mieć zaufanie, iż sam głęboko w owe zasady wierzy i że je w życiu swem praktykuje.

Takiej jednak wiary ogół do członka byleją „cyganeryi warszawskiej“, nie żywił, jakkolwiek, oprócz pogłosek o długach niepłaconych przez apostoła uczciwości obywatelskiej, o życiu jego birbanckim, trawionem nocami po knajpach przy winie i wśród dymu fajek i dykteryjek kawalerskich, jak skrawo opowiadanych, oprócz tych pogłosek, uzupełnianych niejasnemi niedomówieniami treści politycznej, nic właściwie konkretnego, patryotyzm i godność publicysty obciążającego, ustalić nie było można. Ustaliła się wszelako o Miniszewskim opinia niepocholebna, podsycana na domiar bezwzględny z jego strony traktowaniem przeciwników i wyszydzeniem praktykowanych podówczas manifestacji publicznych.

Zaliczenie Miniszewskiego do szeregu współpracowników stałych *Dziennika Powszechnego* i pogłoski o jego bezpośrednich z margrabią naradach w sprawie felietonowych artykułów pod tytułem *Rzeczy społeczne*, rozpoczętych na krótko w *Gazecie Rządowej* przed powstaniem *Dziennika* i kontynuowanych następnie w tymże *Dzienniku*, w szeregu dwudziestu kilku odcinków, poczynając od 2 listopada 1861 r., niepomierne poruszyły i obruszyły opinię publiczną.



Nie dopatrywano się w tych artykułach wyrazu poglądów własnych ich autora, lecz uważano wszystkie owe artykuły, pisane żywo, z zacięciem satyrycznym, za wyraz poglądów i przekonań margrabiego Wielopolskiego o wadach narodowych, zasługujących zdaniem jego, na skarcenie. Uważano dawniejszego, niezależnego w zdaniu swem autora „Listów Cześnikiewicza do Marszałka“ za powolne narzędzie magnackiej buty margrabiego, prowadzącej po szpaltach gazety rękę pisarza, sownie opłacaną z kasy skarbowej, chłoszczącej tą ręką społeczeństwo za jego oporność w sprawie reform w kraju.

Tak pojmowano znaczenie felietonów Miniszewskiego w czasach, gdy pierwsze skrzypce w orkiestrze narodowej grała wyłącznie zapalna młodzież szkolna i gdy wszystko, cokolwiek nie odpowiadało jej górnym aspiracyom, uważano za zdradę narodowej sprawy.

Wystarczy wszakże spokojne po upływie pół wieku od owych czasów odczytanie szeregu felietonów Miniszewskiego, aby się przekonać o zasadności francuskiego zdania: *C'est le ton, qui fait la chanson*. Wszystko to, co w owych ulotnych kartkach uważano za gorszące i sprzeczne z zadaniami istotnego patriotyzmu, powtarzano następnie i powtarza się dzisiaj nawet w nawoływaniach, zwracanych do narodu przez najuczciwszych i najpopularniejszyco publicystów, na szpaltach gazet naszych niezależnych, od cenzury przewencyjnej oswobodzonych.

Sprawy, poruszane przez Miniszewskiego, nasuwają wprawdzie zasadne domniemanie, że inicjatorem ich mógł być, jak był w rzeczy samej, mąż tak głębokiej wiedzy, jakim był margrabia. Ale sposób ich opracowania i forma literacka, w jaką były przyobleczone, stanowiły wyłączną własność Miniszewskiego. Korzystając z bezwarunkowej swobody pióra, której innym dziennikarzom odmawiano, odzywał się Cześnikiewicz do społeczeństwa językiem jędnym, śmiałym, drażniącym uświęcone smutnemi doświadczeniami przeszłości uczucia i hasła; niemniej jednak, nikt, kto bezstronnie ocenia ożywiającego owe artykuły ducha, nie dopatrzy się w nich tendencyi antynarodowej, nie odmówi im zasługi poglądów szczerze polskich, wysoce obywatelskich.

Oto pobieżny ich przegląd, świadczący o bogactwie materiału, nagromadzonego przez felietonistę, w celu pobudzenia umysłów ludzi rozważnych do zastanowienia się nad spra-

wami najpilniejszymi narodu i nad potrzebą ich praktycznego urzeczywistnienia.

Pierwszą z szeregu rzeczy społecznych Miniszewskiego była rozprawa „O duchu praw i instytucji“. Autor rozwija w nich tezę, że atrybucye, przyznane nadanym podówczas krajowi instytucjom, są dosyć obszerne aby obywatel, kochający dobro publiczne, mógł spożytkować ucziwie swe zdolności na dobro kraju. Budować zasoby, podnosić bogactwo narodowe, przygotowywać ułatwienia do rozwijania się pracy, strzedz fundusze publiczne, kontrolować roboty — są to niemałej wagi zadania. A jeżeli te instytucje mają tak pilną robotę, jak uregulowanie stanowcze stosunków włościańskich, a więc pogodzenie zwaśnionych warstw społeczności, bez którego kroku naprzód zrobić niepodobna, należałoby wszystkiemi siłami poprzeć te instytucje i wyciągnąć z nich jeden z najważniejszych pożytków w sprawie najpilniejszej ze wszystkich.

„Tę sprawę mając ciągle na myśli, nie błędę, gdy tylokrotnie powtarzam: że zagrożona społeczność nasza potrzebuje ratunku!

„Prawa i instytucje egzystujące są podstawami wszelkich ulepszeń w przyszłości. Podkopywanie ich niweczeniem przyszlých pomyślności kraju. Z porządku rodzi się porządek. W owocach jednej pracy dojrzewają nasiona prac przyszlých i nowych owoców, karmiących narody. Dobra wola i wytrwała praca, umoralniając nas nieustannie, sprowadzić muszą dalsze rozwijanie praw i instytucji, potrzebnych na ubezpieczenie naszych dorobków. Parcie cywilizacji jest niecofnione, ale trzeba wcielać się w zadania tej cywilizacji oświeceniem gruntownem, którego nie daje natężona agitacja chwili“.

W artykule następnym „O opinii“ wypowiedział Miniszewski wojnę całemu dziennikarstwu warszawskiemu.

„Warunki poprzednie, — pisał — w których dziennikarstwo nasze pchało życie z dnia na dzień, przyprowadziły do tego, że wielki cel zadania prasy straconym został, że dzienniki nie reprezentowały ducha narodu. Lat temu parę, dzienniki, strojąc się w deklamowane na początku kwartału dążności, w zaręczaną miłość kraju na słowo, w obiecywane korzyści — pod tą uludną sukienką podkopywały współkonkurentów, zdążając do monopolu i do jedynowładnego panowania nad umysłami i kieszenią obywateli kraju. Ta wojna podziemna, często wybuchająca w gorszącą polemikę, zawsze miała na celu materyalny interes przedsiębiorcy. Stąd wyradzały



się bezduszne koterye, a powoli zapominać w tych koteryach musiano o kwestyi zasad, a czepiano się kwestyi osób. Do dziś dnia widać ślady tego wyniszczenia principów! Prawda, że przy powszechnem jednaniu starych waśni dzienniki pochowały starą broń swoją, nie usunął się wszelako interes partykularny. Cenzura redakcyjna jest najstraszliwszą tamą do wypowiedania przekonań gruntownych. Przedsiębiorstwo trzyma swoich prenumeratorów oględnością ostrożną, wabi czasem dwójznacznikami, a najczęściej schlebianiem gromadzie ludzkiej. Dzienniki nasze nie dają opinii, ale pod słuchują bacznie, jaka opinia przeważa w powszechności zostawionej samej sobie!

„Dziennikarstwo nie może pozostać dłużej w takim stanie; własność kapitalisty nie może więcej ciążyć na organach ducha narodu i wołać o procenta od nakładu. To byłoby monopolem, nadanym kilku uprzywilejowanym rodzinom. Organa prasy peryodycznej powinny stać się wyrazem — z b i o r o w y c h u s i ł o w a ń m y ś l ą c y c h o b y w a t e l i. Każdy dziennik musi sobie postawić stałe zasady, opatrzyć kierunek uczciwy. Wtedy dziennik wodzować będzie jakiejś falandze obywateli, pracujących szczerze i odważnie około dobra polskiego.

„Dziennik uczciwy nareszcie egzystować powinien poświęceniami obywatelskimi, a nie przedsiębiorstwem spekulacji, wołającej o procenta.

„Wyzyskiwanie nieogłędne przez zapaleńców stępi opinię, połamie i w proch obróci. Ta dzielna siła moralna pójdzie na śmieć i nie tak prędko społeczność dorobi się na nowo tej siły.

„Póki czas, trzeba iść odważnie do ratowania marnowanych zasobów narodowego ducha, trzeba karcieć to lekceważenie i nadużywanie frazesów wielkich: „Ogół pragnie! Postanowili wszyscy!“

„Opinia nie od powszechności idzie do sterników, do wadzów ducha, ale od tego steru rozplywa się na ogół“.

Nie wiadomo, kogo właściwie miał na myśli Miniszewski, zarzucając prasie warszawskiej, iż jest w rękach przedsiębiorców-kapitalistów, mających na widoku prenumeracyjne zyski. Wiemy, iż oprócz *Gazety Codziennej* a raczej *Polskiej*, pod redakcją Kraszewskiego, subwencyonowanej przez zacnego obywatela Kronenberga, reszta pism codziennych należała do rodzin Lesznowskich, lub Dmuszewskich, niezasobnych w kapitały. Zarzut, uczyniony prasie warszawskiej, ja-

koby była kierowana wyłącznie interesem materyalnym, był na ogół niesprawiedliwy.

Następstwa tego rodzaju inkryminacji, rzucanych ze sfer, dzierżących w rękę władzę, przeciw organom opinii publicznej, nie mogły wyjść na dobre propagowanymi przez te sfery w najlepszej intencji celom. Pogłębiała się coraz więcej przepaść między społeczeństwem a margrabią, gdyż jego wyłącznie uważano za inspiratora poglądów, obniżających wartość moralną i obywatelskość organów ówczesnego dziennikarstwa warszawskiego.

\*

W artykule „O o b y c z a j a c h“ podniósł Miniszewski sprawę młodzieży w stosunku do pokolenia starszego i dotknął szkodliwego dla sprawy ogólnej opuszczenia przez ludzi dojrzałych posterunku, czuwającego nad biegiem wydarzeń publicznych, i oddanie go zapalnej młodzieży.

„Ojcowie rodzin, — pisał — dobrze pojawszy patriotyzm prawdziwy, powinni uchwycić silną dłoń królewskie, a nieograniczone rządy w rodzinach. Syn nie wychodzi z pod władzy ojca, dopóki nie wypracował sobie stanowiska obywatela.

„Zapał młodzieży, obudzony w ostatnich czasach, jest nieskończenie bogatym materyałem do budowania lepszej przyszłości, trzeba go tylko dobrze skierować i spożytkować. Gdyby ta młodzież gorąco ukochała naukę i pracę, gdyby ubogaciła się prawdziwym światłem, gdyby zrozumiała gruntownie wielkie zadania cywilizacji — ona, wyrobiwszy się na doskonałych obywateli, odnowiłaby społeczność naszą. Z tej generacji wyszłyby wielkie potęgi duchowe do pojednania zwaśnionych w narodzie żywiołów, do rozpowszechnienia w nim światła“.

Tu, zwracając się z gorącą przemową do młodzieży, która właśnie gromadziła się w przybytku nauki, przywróconym krajowi przez Wielopolskiego, a wskrzeszającym tradycje Szkoły Głównej wileńskiej i Uniwersytetu królewskiego, w taki sposób do niej przemawia:

„Młodzieży! Ty jeszcze w gorączkowym szale zapału pokazujesz wielkie zasoby życia. Nie marnuj tych darów bożych! Twój zapał, skierowany na właściwą drogę, zdobędzie prawdziwe dla narodu pożytki. Staniesz się światłą, a naród cały zajaśnieje. Wystygnie twój zapał dzisiejszy, a nie zdobędziesz skarbów nauki, ciemność tym głębsza ogarnie naród, gdy ty, zostawszy bez światła, przyjdiesz kolejną doj-



rzałości do kierowania społecznością. Młodzieży! Ty masz prawa do pełnego życia w przyszłości, ale wiek poezji, wiek gorącego zapału trzeba poświęcić rozwijaniu posiadanych darów z nieba, bogaceniem umysłu i serca. Im więcej życia i ideałów w tobie, tym więcej zasilku na przyszłe obywatelskie prace. Rośnij na granitowe filary w narodzie, a nie na błędne ogniki, które lada wichur rozproszy i w nicość rozwieje! Zadaniem waszego pokolenia jest podnieść moralność publiczną przez umoralnienie się własne. Wam przysłało oczyścić obyczaje, bo one są skarbnicą narodowych tradycji!

\*

Po młodzieży szkolnej przyszła kolej na szlachtę, na ziemiaństwo — stan społeczny w owych czasach pierwszorzędnego znaczenia, pomny zawsze swych zasług w przeszłości, swej roli, którą mu wyznaczyła w dziejach narodu tradycja, przekazywana z pokolenia w pokolenie. Obalenie przez margrabię Towarzystwa Rolniczego, jedyne organu, który dla ziemiaństwa miał podówczas znaczenie sejmu obradującego nad najważniejszymi zadaniami gospodarstwa narodowego i związanej z niem najcisłej sprawy włościńskiej, — wytworzyło między ziemiaństwem a margrabią niczem wypełnić się nie dającą przepaść, tem głębszą, że na czele antagonistów polityki margrabię stała czcynajgodniejsza postać Andrzeja Zamoyskiego, wyobraziciela pięknej tradycji rodowej, usprawiedliwionej wspomnieniami, sięgającymi czasów wielkiego hetmana i kanclerza.

W artykule „O bogactwie narodowym“, zwracając się do szlachty polskiej i wskazując jej rolę w działalności społecznej, jako szafarza bogactwa krajowego, wygłosił Miniszewski zasadę, że obecne warunki bytu narodowego nakazują szlachcie porzucić prowadzenie polityki, a zając się przeważnie ustaleniem dobrobytu materialnego kraju.

Przesłanką do wyprowadzenia ostatecznej konkluzji z owego nader drażliwego w ówczesnych okolicznościach i w ówczesnym nastroju umysłów poglądu, było niemniej drażliwe poruszenie sprawy fatalnych następstw, jakie dla narodu polskiego mogłoby mieć przyjscie żywiołów obcych do władania u nas ziemią.

„Tylko zamożność chlebowa — pisał Miniszewski — daje podstawy rozwijaniu się wyższej inteligencji. Spójrzmy na warstwy najwyższej zamożności krajowej, posłuchajmy: jakie tam brzmią nazwiska ludzkie? Coraz mniej nazwisk narodo-

wych. Żywioł przychodni przemagać zaczyna w miastach, rozszerza się po dziedzinach wioskowych. Jeszcze kilka dziesiątków lat takiego zaniedbania się, a inteligencja krajowa przestanie być wyrabiana z samodzielności naszego narodu, wydziedziczymy się z moralnej potęgi!

„Przy rolniczo-szablonowym patriotyzmie, dla nas zostałyby najgrubsza i najtwardsza tylko praca. Żywioł obcy, stawszy się ogniskiem światła, zapanowałby nad ludnością rolniczą, narodowość nasza odegrałaby z czasem rolę — pierwotnych amerykańskich Indusów. Przypatrzmy się Pomorzu nadbałtyckiemu, dziedzinom Redarów, Heweldów, Wenedów, Lutyków. Gdzie się podziały te bratnie plemiona słowiańskie? Czy wytępiła je morowa zaraza? Nie. Te plemiona nie wymarły, ale po złamaniu ich oręża zwycięski germanizm, zostawiwszy zwyciężonych przy uprawie roli, ośwładnął tylko źródłami wyższego dorobku pracy, ośwładnął przemysłem i handlem. Tym sposobem przychodnie do siebie przenieśli ognisko światła, a powoli wygasły lechickie tradycje, ucichła słowiańska mowa. Te plemiona wynarodowiły się brakiem rozwijania wszystkich swoich sił moralnych i wszystkich życiowych zasobów. Tak wszędy giną narodowości, gdy wysychają źródła ich życia.

„Bogactwo jest podstawą siły narodowości. Praca powszechna, wykonywana przez narodowe czynniki we wszystkich gałęziach, wzmocni wszystkie życiodajne źródła. Taką pracą urobi się narodowa społeczność...

„Obudzona czynność ducha przy ułatwieniach, nabytych politycznymi reformami, rokuje lepsze nadzieje. Ależ nie zapominałmy, że ta przyszłość nie jest dziełem chwili. Ona jest owocem krwawego znoju i wyteżenia wszystkich sił na regularną, systematyczną i wytrwałą pracę“.

\*

W związku z poglądami na temat doniosłości pracy na polu unarodowienia przemysłu i handlu krajowego, rozwinął Miniszewski w artykule „O służbie publicznej“ pogląd o szkodliwości garnienia się młodzieży polskiej do biur urzędniczych, do szukania kariery w posadach płatnych po magistraturach rządowych.

„Bywają po świecie — pisał — rozlicznego gatunku ubóstwa. My, pchając się do biur rządowych, bez względu na cele społeczne, administracyjne, magistratur, dorobiliśmy się urzędniczego proletariatu! Gdyby ta gałąź służby publicz-



nej obsadzoną była przez ludzi, opatrzonych pełnem światłem, a przychodzących do służby z prawdziwie obywatelskiego powołania — nie byłoby w magistraturach administracyjnych przeludnienia, ani takiego spuszczenia z oczu zadań społecznych, ani uganiania się za nieprawym zyskiem.

„Niechże mi kto pokaże w młodszym pokoleniu wielką zdolność twórczą, wyszlą z tej urzędniczej falangi — czy to finansowa, czy administratorska, któraby samodzielnością swoją zubożyła naukę ekonomii politycznej, któraby przyczyniła się do pomnożenia dobra publicznego?

„...Dosyć odezwać się dzisiaj przeciwko przeludnieniu biur naszych, a natychmiast usłyszymy odpowiedź na takie wołanie: „I gdzież to młodzież nasza szukać miała pola do robienia karyery?“

„...Młodzież prawdziwie oświecona nigdzie na świecie nie znajduje szerszego pola do robienia karyery, jak u nas, gdzie wszystko prawie leży odłogiem i czeka tylko ręki zdolnej i pracowitej, aby wydawało wielkie pożytki. Długo młodzieży naszej nikt nie wskazywał bogatych niw przemysłu, który, jaki jest w kraju, cały prawie w rękach cudzoziemskich przybyszów spoczywa.

„Stare przesady nie pozwalały kłaść szlachetnych rąk polskich przemysłem i handlem. Marzyliśmy tylko o posiadach „dystingujących obywatela“, aż wytrawiliśmy do szczętu stare ojców dorobki. Zwaliwszy wszystkie młode zdolności narodowe na jedno pole, przeludniliśmy biura, a dobro wspólne zmalało i suma światła narodowego podupadła.

„Fałszywe pojęcie karyery skrzywić musiało następnie i samo pojęcie służby publicznej. W naturalnym zaś rzeczy porządku demoralizacya z wyżyn płynąć poczęła na społeczność, aż złe dobiegło ostatecznej mety i spowodowało przesilenie.

„Dzisiaj, przy reformach, zamierzających przysłać pożytki i pomyślności, społeczność oczekuje od służby publicznej oparcia się na zatraconych warunkach. Trzeba wstawić koniecznie w podstawy służby publicznej najmoralniejsze jej pojęcia — usunąć przeludnienie, a do lepiej opatrzonemu chlebem, a uprowadzanemu potrzebnemu światłem urzędnika, domagać się pocziwego spełnienia zadań społecznych“.

\*

Artykuł Miniszewskiego „O służbie publicznej“, wydrukowany w lipcu 1862 r., rozpoczął nową seryę „rzeczy

społecznych“ w odcinkach *Dziennika Powszechnego* po kilkumiesięcznej przerwie w ich ogłaszaniu. Przerwa ta świadczy najlepiej o ścisłej spójni zasad i celów między margrabią Wielopolskim a ich głosicielem w piśmie urzędowym, Miniszewskim. W trakcie bowiem owej przerwy, na horyzoncie politycznym Królestwa zaszły były zmiany znaczące, które, rozszerzwszy wprowadzone po wypadkach lutowych 1861 r. do zarządu wewnętrznego reformy, zapowiadały oparcie autonomii administracyjnej Królestwa Polskiego tym razem na stałszych podstawach.

W listopadzie, gdy się ukazał ostatni z pierwszej seryi „rzeczy społecznych“ artykuł Miniszewskiego „O bogactwie narodowym“, Wielopolski, zrażony ponownem zamianowaniem generała Suchozaneta, swego antagonisty, następcą hr. Lamberta, namiestnika Królestwa, podał się do dymisji z urzędów dyrektora Komisji spraw wewn. i Kom. i sprawiedliwości i wyjechał do Petersburga. Tam rozpoczął energiczną na dworze cesarskim akcyę w sprawie rozszerzenia dotychczasowych, Królestwu udzielonych, koncesyi, co, jak wiadomo, pomyślnym skutkiem zostało uwieńczone i doprowadziło w czerwcu 1862 r. do powierzenia godności namiestnika Królestwa bratu cesarskiemu, W. księciu Konstantemu Mikołajewiczowi, ks. Zygmunta Felińskiego uczyniło arcybiskupem metropolita, Wielopolskiemu zaś nadało niezwykły w dziejach administracyi polskiej tytuł: naczelnika rządu cywilnego Królestwa.

Pomimo nieustannych zamachów na osoby wielkorządców Królestwa, na Wielopolskiego i wreszcie na osobę namiestnika, W. ks. Konstantego, wpływy Wielopolskiego w Petersburgu były tak silne, że nie powstrzymały biegu zapowiedzianych reform, które w roku 1862 wyraziły się w szeregu ulepszeń prawodawczych we wszystkich dziedzinach wewnętrznego bytu Królestwa.

W czasie też, w którym powyższe zmiany zachodziły, Miniszewski, pozbawiony instrukcyi Wielopolskiego, zamilkł i odezwał się na nowo dopiero w lipcu 1862 r., gdy już Wielopolski, zajmawszy na stałe rezydencyę swoją w pałacu brühlowskim, rozpoczął na nowo pracę nad wprowadzeniem ogłoszonych reform w czyn i uznał znowu za rzecz konieczną oddziaływać na opinię publiczną drogą nawoływań ogółu do cierpliwości, do wyczekiwania ważniejszych jeszcze z biegiem czasu koncesyi.



132425



Nie mogąc, z racji swego stanowiska urzędowego, wtajemniczać ogółu we wszystkie swoje daleko sięgające plany, użył margrabia Miniszewskiego za pośrednika między sobą a społeczeństwem. Jego słowami, pod formą „rzeczy społecznych“, chciał przekonać rozgorączkowane umysły o konieczności zadowalania się do czasu tem, co już zdołano pozyskać, i ostrzedz go przed następstwami dalszego bojkotowania reform, z takim trudem i wbrew niechęci sfer rządzących w Petersburgu wyjedanych.

Z drugiej jednak strony, uważał margrabia, że komentowanie swoich planów w formie felietonów *Dziennika Powszechnego*, dostępne i zrozumiałe dla kół inteligencji krajowej, nie było wystarczające dla rzesz, które prowadziły otwartą walkę z nowym ustrojem rządów Królestwa drogą nieustannych manifestacji.

Do tych tedy rzesz miała być skierowana za pośrednictwem Miniszewskiego nowa akcja, sposobem ośmieszania hasła, przez prowodyrów ruchu w kraju i za kordonem głoszonych, obniżających znaczenie reform i pobudzających do akcji czynnej przeciwko wyborom do Rad gminnych i miejskich.

Środkiem usmierzającym, przez Wielopolskiego obmyślonym, miało być rozpowszechnienie świstków ulotnych, karzących w formie satyry hasła agitacyjne i wykazujących ich bezcelowość.

W tymto właśnie celu rozpoczął Miniszewski, z natchnienia Wielopolskiego, w drugiej połowie 1862 r. wydawnictwo pod tyt. „K o m u n a ł y“, których „wiązka“ pierwsza ukazała się na ulicach Warszawy, jako „pismo zbiorowe, poświęcone tak rozweseleniu, jako i zasepieniu umysłów, dźwiganii brzemienia życia dopomagające skutecznie — pismo tanie, bez okładki, w conceptach niewyczerpane, a bez wielkich pretensyi, wszelako popiera ono prawdziwą oświatę, prawa człowieka, rolnictwo, przemysł i handel, pocziwym do zbawienia pomaga, chłostając niemiłosiernie, łotrom do piekła drogi kieruje pochlebstwami, a co najważniejsza, osobistość człowieka zostawia w spokoju i poszanowaniu wielkiem, nigdy jej nie tykając. Varsoviae, Anno D. MDCCCLXII etc., pod redakcją Achillesa Kacenbergoviusa, rodowitego Polaka“.

Pisma owego, źle przyjętego przez ogół, więc nie kupowanego zupełnie, dwie tylko ukazały się „wiązki“. Z pretenstionalnym jego tytułem nie szła w parze zawartość świstka,

nikła, mało dowcipna, zupełnie charakterowi uzdolnienia Miniszewskiego nie odpowiadająca.

Miniszewski był, z natury swego talentu pisarskiego, rektorem, zręcznie szermującym górnymi frazesami, ale dowcipu i lekkości, potrzebnych w tego rodzaju publikacjach, zgola nie posiadał. W Polsce, jak wiadomo, dobry humor zawsze popłacał. Najgorszą dolę słodzone sobie zawsze zręcznie ukutym dowcipem, niby plastrzem na jątrzące się rany, ale musiał to być dowcip szczery, niewymuszony, bez przymieszki tendencji narzuconej ze sfer rządzących.

Impreza Miniszewskiego zbankrutowała. Napróżno silił się w układzie „Komunałów“ przemawiać do ogółu wskazywaniem w humorystycznej formie szkodliwości manifestacji ulicznych, przynoszących korzyść Niemcom, jako też zgubnych dla kraju następstw zamachów, które ich sprawców na szubienicy powiodły.

Mówi np. Szulce do Müllera: „Nie przeszkadzaj Polakom, niech robią głupstwa, im bardziej oni się rozbisurmania, tem lepiej dla nas, bo potem ich muszę wziąć za łeb, a my do reszty opanujemy ich bogactwa krajowe i zrobimy z Polski czyste Niemcy“ i t. d.

Mówi znów Bartłomiej do Kuby z powodu powieszenia Rylla i Rzońcy:

„A co? galante chłopaki! Niczego się nie boją! Powiesili — to i cóż z tego? A oni jutro będą robić to samo, aż dokonają“.

Kuba: „A cóż to mają dokonać?“

Bartłomiej: „O głupsi! Będzie Polska i kwita!“

Często na szpaltach „Komunałów“ odzywa się apostrofa do redakcyi *Czasu* krakowskiego, który był przeciwnikiem reform Wielopolskiego.

„Uprasza się redakcyę *Czasu* krakowskiego — pisały „Komunały“, — aby nam bez zająknięcia następującą kwestyę żywotną wytłumaczyć raczyła: Na czem zyskuje więcej narodowość: czy kiedy jej dadzą pas, kontusz i konfederatkę i karabelę opodatkowaną, a współcześnie dysponują lingwą germańską we wszystkich sprawach zarządu, szkoły i sądu, czy też kiedy jej nakażą cylindrowe kapelusze, a rządzą, uczą i sądzą lingwą ojczystą?“

Większa część tekstu „wiązki drugiej“ „Komunałów“ poświęcona była zaciętej polemice z ówczesnymi redaktorami *Czasu* i korespondencyi, jakoby z podwawelskiego grodu do



redakcyi przesłanej, a niewątpliwie w Warszawie ręką samego Miniszewskiego sfabrykowanej.

Takąż polemikę prowadziły „K o m u n a ł y“ i z redaktorami dzienników warszawskich.

„Kiedy dzienniki warszawskie — pisał Miniszewski — trudnią się głównie kierowaniem spraw politycznych europejskich, wyręczając Szmerlinga, Thouvenela, Palmerstona, Ratazzego, — kto współcześnie wyręcza naszych polityków, dyplomatów, statystów i ekonomistów w trudnieniu się sprawami polskimi?“

Między artykułami luźnymi napotykamy i takie, których autorem mógł być prawdopodobnie sam margrabia Wielopolski. Jako uczeń b. Uniwersytetu królewskiego, odczuwszy głęboko krzywdzący zarzut *Czasu* krakowskiego, iż nominacje profesosów Szkoły Głównej „były wynikiem faworytyzmu i protekcji“, przypomniał sobie autor skład profesorski dawnej wszechnicy warszawskiej, w którym przeważali cudzoziemcy, lub krajowcy o niemieckich nazwiskach, i taką do *Czasu* zwrócił apostrofę:

„*Czas* krakowski w napaści swojej na Szkołę Główną w Warszawie, *ex re* nominowania osób na katedry profesorskie, nazywając nominowanych „protegowanymi faworytami“, bardzo łatwo mógłby być posądzonym, że ten nowy a tak pożądaný Instytut chciałby widzieć zaczynającym wielkie swoje prace przez cywilizatorów cudzoziemskich. Takiemu losowi uległ niegdyś Aleksandryjski Uniwersytet w Warszawie, gdy zanominowano ludzi z temi np. nazwiskami: Jan Hoffman, Fryderyk Hoffman, Cezar Varenne, Blank, Schuster, Kolberg, Wilhelm Wahlburg, A. E. Zinserling, Aloizy Chiarini, Sebastyan Ciampi, Engelke, Freyer, Mile, Woyde, Vogel, Lange, Krethlow etc.

„Jestze to protegowaniem faworytów — dla zasilenia narodowości wyszukiwać pracowicie rodaczych talentów na profesury do Szkoły Głównej w Warszawie, do której ściągają się pełni zapału i najczystsze patryotyzmu, nawet spracowani emeryci? Pofolguj, *Czasie*, tym napaściom, zakrawającym na rzucanie błota po ulicznikowski!“

„Jeżeli zaś macie do protegowania swoich faworytów, to działając rozumnie, lepiejby było znieść się po koleżeńsku z Redakcją „K o m u n a ł ó w“, a ona pracowałaby usilnie nad zdepopularyzowaniem dzisiejszych profesorów, ażeby się znękanym podali do dymisy, a dla faworytów *Czasu* otwarłoby się miejsce“.

W jednej z odpowiedzi redakcyjnych, zwracając się do jakiejś zmyślonej osobistości Kłopotnickiego, zadającego pytanie: „Gdzie ratunek? Gdzie dla przyszłości narodu zbawienie?“ — „K o m u n a ł y“ wyjaśniają: „W gimnazyach, w Szkole Głównej i Politechnicznej! W przeprowadzeniu reformy włościąńskich stosunków, z dobrą i silną wolą właścicieli, chętnych do ofiar, w szkołach elementarnych!... Powiesz mi, że to działanie powolne, a oczekiwanie długie!... ale narody, światła, zamożności i warunków do samoistnego bytu potrzebnych dorabiają się powoli, krwawo, mozolnie. Z żelazną idąc wytrwałością, stawają u celu“...

Ganiąc powszechny w kraju strój żalobny, piszą „K o m u n a ł y“ pod rubryką „Mody“: „Kolor czarny, krój ten sam zawsze, krynolina i powłócząca się spódnica, podnosząca kurzawę. Stopniowanie patryotyzmu cechuje się dodatkami własnej inwencji — w obszywkach i wyszywaniach białych“ i t. d.

Powstrzymywanie się podówczas od uczęszczania do teatrów odzywa się echem w rozmowie Müllera z Szulcem:

„Powiedz mi, bruder, dlaczego teraz Polacy do teatru nie chcą chodzić, a przed niedawnym czasem bilety do teatru przepłacali u przekupni, nieraz czworaką ceną?“

Szulce: „Bo widzisz, Polacy są bardzo pobożnym narodem. Otóż ślubowali sobie zachować pokorę ducha. Dlatego, kiedy teatr działał na zmysły i bawił dzieci stare i młode, oblegali kasę. Ale jak ten główny nieprzyjaciel, tak nienawidzony w narodzie, powziął zamiar oświecić rodaków koniecznie, a nawet teatr chciał zagarnąć i podnieść do rzędu szkoły, kiedy przygotowano repertuar z arcydziełami z dziedziny dramatycznej, nie chcą chodzić do teatru“.

Natrząsając się nad niechęcią ogółu do tego rodzaju admonicji, zwracanych przeciw ówczesnemu nastrojowi umysłów, pisze Miniszewski, jakby przepowiadając swój koniec tragiczny: „Muchy i komary, brzęczące po ulicach, redaktor „K o m u n a ł ó w“ błogosławi, jako pożyteczne istoty! Uprasza jedynie o to, aby go nie bodnięto nożem, lub nie przedziurawiono strzałem zdrazieckim, bo wtedy, rękę państwu słowem szlacheckim, następna wiązka „K o m u n a ł ó w“ jużby nie wyszła“...

\*

Nie zabił „K o m u n a ł ó w“ cios sztyletu, gdyż skończyły swój żywot jeszcze na ośm miesięcy przed tragicznym zgonem redaktora, wskutek zupełnego ignorowania ich ze



strony prasy miejscowej, która z nimi polemizować nie mogła — i nie chciała, a przedewszystkiem upadły wskutek bojkotowania ich nawet przez roznosicieli ulicznych. Spójnia solidarności w opornej walce z reformami Wielopolskiego jednoczyła podówczas szerokie rzesze, oszołomione hasłami, rzucanemi w tłum przez zapalną młodzież. Żaden ulicznik warszawski, kolportujący gazety, nie śmiał ukazać się na ulicach Warszawy z „Komuną” w ręku, z obawy, by go nie obito.

Tak więc, pokonane wzgardliwym milczeniem, osławione autorstwem nieubliwanego w społeczeństwie redaktora, po krótkim bytowaniu zakończyły „Komuną” suchotniczy swój żywot. Pozostało Miniszewskiemu powrócić znowu do felietonów *Dziennika Powszechnego*, w którym też „rzeczy społeczne” wznowiły swą akcję uśmierającą i ostrzegawczą w artykułach, potrącających o najważniejsze zagadnienia chwili, pisanych w tonie poważnym, z niezaprzeczoną siłą argumentacji, bez aparatu satyry i zaczepki natury osobistej.

W artykule „O pojęciu władzy i prawa” starał się Miniszewski przekonać ogół o konieczności korzystania z nadanych krajowi ulg autonomicznych.

„Społeczność, — pisał — która, mając jakiegokolwiek drogi legalne do wypowiedzania potrzeb swoich, zaniedbuje te drogi i przechodzi lekkomyślnie poza grunt legalny, naraża się na zatracenie idei władzy i prawa. O ciasnych drogach nie może tu być mowy, bo każda rozszerza się koniecznie, w miarę wzrastających potrzeb społeczności. Porzucić drogę legalną bez jej próbowania, a chcieć głową przebijać tunele w spiętrzonych górach przeciwności — byłoby dowodem zupełnego braku rozumu. Wskutek doznawanych niepowodzeń człowiek pojedynczy może sobie powiedzieć: „Niech głowę rozbiję, kiedy przejść nie mogę”. Ale cała społeczność narodowa, wiążąca się z ogólną sprawą cywilizacji, której chce być czynnikiem, w taką malignę popadać nie może. Społeczność zaufać powinna gwiazdzie przewodniej swojej cywilizacji, która rodzinę ludów chrześcijańskich wiedzie nieustannie naprzód; ale pochod jej nigdy nie jest biegiem szalonym, postępuje on regularnie, systematycznie, a te społeczności jedynie w samodzielne i samoistne czynniki wielkiej sprawy cywilizacyjnej zamienia, które sumą światła i zasobów gwarantują wierne i skuteczne pełnienie tej wielkiej w dziejach ludzkości służby.

„Społeczność, któraby zatraciła ideę władzy i prawa, już więcej nie robi kroku na drodze postępu. Przepaść rozdzieli ją od wielkich zadań cywilizacji”.

W artykule „O potrzebie reform w obyczajach” rozwinął Miniszewski zasadę ostrożnego krzewienia oświaty między ludem włościańskim, by nie budzić w nim aspiracji do porzucenia swego stanu i zasmakowania w obyczajach, właściwych stanowi miejskiemu.

„W obecnej chwili, — pisał — przy obudzonym ruchu myślenia, przy zapale gwałtownym tłumnie garnącego się nauczycielstwa do oświecenia ludu, trzeba wielkiej ostrożności, aby nie zatruć wadami obyczajowemi warstw inteligentnych tej masy kmieckiego stanu. Owe dorywczo i na galopa pisane książki i książeczki, mające stanowić „pierwszą bibliotekę ludową”, gdy ten lud czytać się nauczy, potrzebują oględnej, sumiennej i troskliwej krytyki, potrzebują nieustannego czuwania moralności najczystszej, aby nie wprowadzić jadu i zarazy w ducha dziewiczego ludu. Mnie trwogą przejmuje ta na ochotnika mnożąca się literatura ludowa, gdy tylu na raz widzi się namaszczonymi do nauczycielstwa ludu i rzuca, niby na ołtarz ojczyzny, ofiarę z ducha w książeczce dla chłopca, a ta ofiara bardzo łatwo może wprowadzić w krew i ducha ludu zarody złego.

„Niebezpieczne bywają wszelkie powodzie, a nawet same powodzie pomysłowości! Szybko wzbierające potoki szybko też cichną i nikną. Oby tylko ten dzisiejszy potok światła nie ogłupił ludu! Na tem polu trzeba sumiennej, regularnej, wytrwałej i wiekującej pracy! a na złe wychodzą szmermele, fajerwerki świetlane i wszelkie chwilowe parady”.

Z niemniejszym zapalem broni Miniszewski zasady pozostawienia niewiasty polskiej na tem stanowisku, na jakim tradycya narodowa pragnęła zawsze widzieć kobietę, jako stróża rodzinnego ogniska, obcą działalności agitatorskiej w dziedzinie polityki.

„Kiedy widzę — pisał — kobietę w świątyni Bożej z łzą serdeczną w oku i z cichą modlitwą na ustach, raduję się, bo widzę, że naród silnie wiąże się z Bogiem i przyjdzie nam miłosierdzie Boże.

„Ale kiedy zobaczę kobietę z rozplomienioną twarzą, z roznamiętnionem spojrzeniem, ubraną czarno, uwijającą się po rynkach publicznych, uczestniczącą w demonstracjach ulicznych — trwoga mnie ogarnia, błędnie mi przyszłość mojego narodu, rozwiewają moje widzenia duchowe, a spostrze-



gam straszny upadek mojej społeczności, gdy tyle kobiet straciło charakter swój kapłański, anielski, dziewiczy, a przeistoczyło się w fure!

„Czarująca jest postać niewiasty świętej, pobożnej, pracowitej, cichej, pokornej — ta jej słabość robi ją panią mego serca, spieszę dać jej opiekę, pracuję na uprzyjemnienie jej życia, na osłodzenie jej trudów domowych, tak pożytecznych, a trudów nie dających się ani dosyć uczcić, ani dosyć nagrodzić.

„Ale kobieta rozplamiona, roznamietniona polityką, agitująca po zgromadzeniach, po ulicach, po rynkach, po kościołach — jest straszna, odpychająca.

„Taka zawładnie chyba sercem zbabiałego niedołęgi, znajdzie miłość i uczucie u istoty biernej natury, u negacyi męstwa. Szpeci się kobieta uwijaniem po rynkach publicznych, agitatorstwem politycznym, uczestnictwem w demonstracjach. Podłą się mężowie, wywłóczący na te zbiorowiska kobietę, zasłaniając się wzbudzącą litość jej niemocą!

„Wszystko to są następstwa upadku obyczajów narodowych. Nie kobieta winna, ale mężowie skarleli“.

W artykule „O znaczeniu pracy“ podnosi Miniszewski konieczność unarodowienia przemysłu i handlu, zaniebawianych przez rodaków z korzyścią dla obcych.

„Siły produkcyjne naszej społeczności, — pisał — skupione tylko na polu rolniczym, nie zapewnią społeczności narodowej znaczenia poważnego w rodzinie ludów, ani też niezależności od wypadków zewnętrznych, gdy wszystkie wyroby sprowadzać będziemy z za granicy kraju, lub krajowe warsztaty powierzać będziemy cudzoziemskim przychodniom. Jak rolnictwo, tak przemysł i handel wykonywane być powinny przez uzdolnione czynniki narodowe“.

Powraca publicysta do tego tematu w artykule „O stowarzyszeniach“, wykazując, że jedynym środkiem pobudzenia robotnika polskiego do owocnej działalności byłaby zachęta do tworzenia najliczniejszych spółek zawodowych, przyczem, wyprzedzając na daleką metę ujawniający się dziś tak pomyślnie ruch współdzielczy, pisze:

„Ponieważ usiłowania pojedyncze mało dokonać potrafią i nie zawsze dadzą dobry kierunek przedsięwzięciu, ażeby przyjść rzeczywiście do przemysłu narodowego, trzeba koniecznie obudzić interes własny pracowitej ludności, dopuszczając ją do jak najszerszego udziału w korzyściach z ogólnego dorobku zakładów przemysłowych“.

Niesłabnący ruch agitacyjny w kraju przeciw powołanym do życia Radom obywatelskim wywołuje w artykule „O robotach publicznych“ gorzkie skargi na lekceważenie otwartej obywatelstwu na oścież drogi do pracy na polu działalności publicznej.

„Tylko umysły ciemne i nieoświecone, — pisał — tylko niecierpliwość dziecinna i brak wszelkich pojęć o zadaniach społecznych mogą lekceważyć reformy, przyprowadzające wybrańców narodowej społeczności do współudziału w zawiadywaniu interesów swojej prowincyi. Jeżeli tylko mieli mnożyć dobro pospolite jakiegoś zakątka kraju, jeżeli mieli zapewniony wpływ na pomnożenie się światła, mieli już cele ogromne w przyszłości, zadania olbrzymie do spełnienia.

„Wartość instytucyi nie leży w statucie, spisany na arkuszu papieru, ale w dobrej woli obywateli, przystępujących do wykonania...“

„Można u nas robić wiele dobrego, ale niestety! duch przeciwieństwa niszczy bardzo często wyborną sposobność rozpoczęcia zaniedbanej budowy społecznej. Jawią się gracze, stawiający na jedną kartę dzienny zarobek. Przegrawszy go, o głodzie poczynają drugi dzień pracy na życie, słabsze siły słabszy coraz zdobywają zasilek...“

„Tak wolno graczom dysponować swoje własne, osobiste mienie, ale tak się nie hazarduje dorobkami krwawymi społeczeństw! Biada narodom, które ufały hazardom, a nie umiały rosnąć samodzielną pracą! Na długi żywot trzeba mnożenia zasobów życiowych. Droga hazardów szli Hunnowie, Wandale, hordy nogajskie... Gdzież one?“

W artykule „O znaczeniu gminy“ wyprzedza Miniszewski również na daleką metę pojęcia o korzyści parcelacji gruntów dworskich.

„Wielka uprawa, — pisał — która niegdyś chwilowemi korzyściami zaślepiała wiele umysłów, nawet na oświecenijszym od nas Zachodzie, dzisiaj straciła znaczenie. Przekonano się doświadczeniem, że drobna uprawa, byleby tylko nie rozdrobniona zanadto, wydaje daleko wyższe rezultaty. Spodziewać się należy, że i u nas ustali się to przekonanie, a przy rozbijaniu wielkich folwarków, przy dobrze pojętym interesie własnym dziedzica, gdy pojawią się drobniejsze gospodarstwa, a tym sposobem ułatwi się nabywanie własności ziemskiej dla pracowitej i rządnej ludności, — gmina polska odradzać się pocznie. Wtedy znowu ustopniuje się warstwa-



mi zamożność, ustalą się drogi przepływania światła, a starodawną opiekę dziedzica wszechwładnego zastąpi — prawo“.

\*

Tragizm ówczesnego położenia kraju tkwił przeważnie w musowem, pod wpływem wzburzonej opinii, usuwaniu się starszyny obywatelstwa ziemskiego od współdziałania we wprowadzonych do administracji wewnętrznej reformach. Opozycją bierną tego rodzaju wyrażano niechęć do naczelnika rządu cywilnego, okazywano nieufność do wszelkich z jego strony podejmowanych zabiegów o to, by z zarządzonych wyborów do Rad miejskich, powiatowych i gminnych wyszło przedstawicielstwo mężów, przodujących w narodzie.

Ton artykułów Miniszewskiego, niewątpliwie pod wpływem rozdrażnienia margrabiego, iż napotkał na swej drodze przeszkody, staje się coraz gwałtowniejszy. W artykule: „Pojęcie obywatela“ zwraca się publicysta niedwuznacznie do antagonistów Wielopolskiego, w wyrażeniach cierpkich, będących echem niezadowolenia pałacu brühlowskiego z bezowocności pojednawczej w tej sprawie taktyki:

„Obywatel, — pisał Miniszewski w listopadzie 1862 r. — który w jakimkolwiek położeniu kraju cofa się od służby publicznej, popełnia grzech śmiertelny, jest bratobójcą, bo pozwala na wyniszczenie społeczności narodowej. Są jakieś zasłupione pychy ludzkie, które uważają się za świętości narodowe i jak bogi domowe, kryją się w czasie burzy i klęsk publicznych w zakątki ciche i bezpieczne, chowając się niby do wielkiej pracy na lepsze czasy...

„Widziałem człowieka, któremu w niesłychanie ważnej dla narodu chwili powierzono bardzo ważną gałąź administracji do kierowania. Odmówił przyjęcia. A przyjaciele trąbili o jego bohaterstwie i zaparciu się, że nie wziął udziału w zarządzie społeczności narodowej, że nie pokalał swojej świętości obywatelskiej, że nie sponiewierał zaufania rodaków, że stanął tym sposobem w opozycji z istniejącym porządkiem politycznym. A ja, w odpowiedzi na tę powszechną admirację przyjaciół, rzekłem głośno i powtarzam publicznie: Ów adorowany geniusz jest zerem, owa cnota obywatelska jest fałszem, ów takt polityczny wysławiany jest brakiem rozumienia interesu publicznego, opozycja sama — błędem, a cały postępek najpodobniejszy do braku odwagi i do braku prawdziwego światła, a stąd wygląda na małoduszne pochlebstwo roznamiętntonemu tłumowi“.

Ostrze krytyki i satyry zwraca publicysta w artykule: „Gród stoliczny“ przeciw Warszawie, jako głównemu ognisku, skąd rozchodziły się hasła oporu przeciw nowemu porządkowi rzeczy, i która, jak zawsze, tak i podówczas, dawała podniecie ruchowi, ogarniającemu kraj cały.

„Gdybyśmy, — pisał Miniszewski na miesiąc przed wybuchem styczniowym — jakiemuś doświadczonemu historykowi moralistcie pokazali dzisiejsze obyczaje Warszawy, stan moralności i opinii publicznej w tem mieście, gdybyśmy mu pokazali stan światła Warszawy, zsumowawszy to sobie, powiedzialby: Naród, którego treścią jest to miasto, jest już starcem zgrzybiałym i umrze niezadługo“.

„Na szczęście nasze, Warszawa nie jest narodową treścią, nie jest ogniskiem życia narodowego. Urosła ona napływem rozlicznych przychodni, spolonizowała się mową — ale bynajmniej nie jest wyobrazicielką narodu polskiego, ani kwiatem narodowych dziejów, ani ogniskiem społeczności narodowych.

„... Zanim ta Warszawa stanie się wyobrazicielką narodu, trzeba ją zrobić polską, oczyścić z obcej narodowi zgnilizny próżniactwa, bezwstydu, doktryn, demagogii wywracającej, a zamienić na olbrzymi warsztat pracy społecznej, na centrum narodowe“.

Na tydzień przed powstaniem raz jeszcze wraca publicysta do tematu o zgubnym wpływie Warszawy na kierunek spraw publicznych. Posunął się nawet do śmiałego a dziwaczego projektu „zmniejszenia o czwartą część jej ludności“, jako też ludności mniejszych miast Królestwa, gdyż jeżeli tym sposobem oczyścimy je z próżniactwa i zepsucia, nie będzie to strata, ale ogromny pożytek dla narodu“.

Pomocną rękę w tej sprawie upatrywał Miniszewski w Radzie miejskiej warszawskiej, wszelako nie tań, iż w ówczesnych okolicznościach pomocno nader wątpliwa.

„Opinia brukowa, — pisał — kierowana przez szaleńców, stawia wszelki rząd w stanie oskarżenia o zamachy przeciw interesowi dobra publicznego w narodzie. Rada miejska, ulegająca naciskowi takiego stronnictwa, gdy będzie wiecznie podejrzawać rząd i oddzielać się od niego, zaniedba wszystkie potrzeby społeczne, które wypowiadać i zaspokajać jest obowiązana. Szalona agitacja polityków brukowych zatrzymuje ruch całego warsztatu pracy, demoralizuje lud nieoświecony, niszczy sforność i karność ludności roboczej. Rada miejska to widzi i obliczyć zdolna smutne następstwa doko-



nywającego się rozprzeżenia. Ale gdy Rada lękać się będzie wyroków opinii tego stronnictwa, opinii, popartej pogroźką sztyletu, jeżeli Rada lękać się będzie podnieść głos przeciw wicherzycielom społecznego porządku, dlatego, że oni stroją się w wielkie godła narodowe, jeżeli Rada nie zechce uznać siebie za sterniczkę opinii, ale ten urząd przyzna ciżbie większości nieoświeconej, która ostracyzmuje i zabija, — wtedy Rada taka nie poprze zamiarów Rządu, ani też znajdzie poparcie Rządu“.

\*

Projekt „zmniejszenia ludności“ stolicy i miast Królestwa, w celu usunięcia żywiołów ruchu, wprowadzony został w wykonanie za pomocą branki, dopełnionej nocną porą, w wigilię wybuchu 23 stycznia 1863 r.

Ogłoszenie rozkazu, „aby mieszkańcy, powołani do woj-ska z gubernii: warszawskiej, radomskiej, płockiej i augustowskiej, wcieleni zostali do wojsk, konsystujących w guberniach wielkorosyjskich, zaś w gubernii lubelskiej — do rezerw mało-rosyjskich“, wybuch ów przyspieszyło.

Fakt, iż młodzież Szkoły Głównej, po odbytej naradzie w auli prosektoryum przy ulicy Zgoda, większością głosów oparła się namowom do pośpieszenia na pole walki orężnej, wywołał niezręczną ze strony Miniszewskiego pochwałę takiej abstynencji, wygłoszoną nazajutrz po wybuchu.

„Młodzież Szkoły Głównej — pisał publicysta — została wierną swoim najświętszym obowiązkom względem Ojczyzny. To dobra wróżba dla świeżo założonej nauk świątyni! Bóg sam chce, abyśmy murowali na silnym gruncie i z wybornego materiału tę przyszłość błogosławioną, którą dotąd szaleńcy beżmyślni chcieli wygrać, rozprawiając się o nią rzucaniem kości na stawkę, hazardując wszystko, a nawet ostatnią nadzieję ratunku“.

W trakcie, gdy w kraju rozgrywały się losy narodu, gdy dyplomacya europejska, przypomniawszy sobie nieznie-siony formalnie traktat wiedeński 1815 r., dawała pozór chęci solidarnego działania mocarstw w sprawie przywrócenia Kró-lestwu bytu autonomicznego, — stanowisko Wielopolskiego stawało się coraz bardziej niepewnym, nawet wobec tej mniej-szości obywatelstwa krajowego, która w duszy życzyła zwy-cięstwa jego polityce. Ton artykułów Miniszewskiego, nie-wątpliwie pod wpływem wynurzeń i skarg margrabiego, sta-wał się coraz gwałtowniejszy. Zwrócił się z wyrzutem do stronnictwa „białych“, uważanego dotychczas za przeci-

wnika powstańczego ruchu, i wybuchnął z całą siłą rekrymi-nacyi w artykule: „Interesa rewolucyi powszechnej i narodowości“, ogłoszonym w połowie kwietnia 1863 roku.

„Po cóż nam dłużej słowa obwijać w bawełnę? — pisał Miniszewski — powiem otwarcie do kogo mówię. Oto zie-mianie nasi, ta treść rolniczego narodu, zwana powszechnie szlachtą polską, byli owymi ludźmi wyczekującymi, aż za nich wszystko czas zrobi. Zjeżdżali się na narady dość częste po różnych zakątkach kraju, zjadali obiad, sporządzony podług historycznych form gościnności polskiej, wypalali pewną ilość tytoniu, spotrzebowywali miliony słów w relacjach, dysputach i projektach i rozjeżdżali się do domów z znanotowanym no-wym terminem zjazdu, z imieniem gospodarza, przeznaczono-go nakarmić do syta bierny patryotyzm obywatelski, zwo-ływany na następny sejmik. Z tych narad i biesiadnych po-gadanek wychodziły różne organizacje. Słyszeliśmy o stron-nictwie „białych“, stojącym zdala od stronnictwa „czerwonych“, słyszeliśmy o organizacyi, zakończonej u szczytu Dyrektorya-tem, słyszeliśmy następnie o organizacyi, opatrzonej skrzynką skarbową kapituły.

„Podatkowali czerwoni, podatkowali i biali. Ale o pro-gramie ziemiańskim do działania w interesie dobra narodo-wego, pojętego rozumnie, nie słyszeliśmy ani odrobiny...“

W końcu napomyka publicysta o zwodniczości sympatyi dyplomatów i kół rewolucyjnych europejskich, swoje jedynie interesa mających na widoku.

„Często ogniska rewolucyjne zbierają się pod zasłoną skrzydeł potężnych. Często polityka przewrotna pozwala w jednym państwie przygotowywać dzieło zniszczenia dla są-siada...“

„U nas, niestety! zbyt wiele krwi popłynęło, a durzyciele zmarnowanego kwiatu młodzieży stoją z daleka od niebez-pieczeństwa, a może w tej chwili wybierają się towarzy-szyć w pokutniczej podróży za morze jakim protektorem zni-szczenia...“

„Biada narodom, dającym się wodzić na pokusy! Biada narodom, patrzącym obojętnie, kiedy ich sprawę wyzyskują awanturnicy!“

Był to już głos ostatni żyjącego publicysty, przemawia-jący ze szpalt *Dziennika Powszechnego*. Artykuł, który się ukazał wieczorem dnia 2 maja 1863 r. pod tytułem: „Rewo-lucyoniści i patrycyusze w narodzie“, był już gło-



sem pośmiertnym zasztyletowanego nad ranem tegoż dnia publicysty.

Ale poza nawoływaniem w dzienniku urzędowym wypowiedział Miniszewski na krótko przed katastrofą gorzką wymówkę przeciwnikom polityki margrabiego, w broszurze bezimiennie wydanej w Lipsku pod tyt. „Rzut oka na rozwój polityczny i społeczny w Królestwie Polskiem od r. 1831 do naszych czasów“, w której, podpisawszy się pseudonimem Syn szlachecki, tłumaczy się z powodów takiej bezimienności.

„Nie podpisuje imieniem mojem tego, co wam wypowiadam. Dlaczego? Bo skłamałbym, że to mój głos jedynie — a to głos szlacheckiego syna, głos tysiąca!

„Jeżeli przyjdzie na kogo poszukiwanie w narodzie i pociągać go będą do odpowiedzialności za to, że czytał to piśmo moje i brał do serca, ja wtedy wystąpię i powiem: „Boleść, co serce trawiła narodowi bohaterskiemu, ja wypowiedziałem. Karajcie mnie jednego za to, że ją wypowiedziałem. Zginę, jeśli zginąć przyjdzie!“

Były to bezwiednie prorocze słowa, wzmocnione jeszcze silniej apostrofa, zwróconą do starszyny narodowej w artykule pozgonnym.

„Patrycyacie narodowy! — pisał Miniszewski. — Twoją to się stało winą, bo twoją było powinnością pruć watek dziejowego życia narodu, strzedz tradycyi, a nie popuszczać z rąk ani na chwilę steru narodowej nawy!“

Przebieg katastrofy opisał szczegółowy Przyborowski w „Dziejach 1863 roku“ (t. II, str. 468 i nast.). Podaje o tym wypadku niektóre informacje Berg w „Zapiskach“ (ks. IX). Ale ani w *Dzienniku Powszechnym*, ani też w innych gazetach ówczesnych nie znajdujemy szczegółów morderstwa. *Dziennik Powszechny* z d. 2 maja 1863 r. pod artykułem Miniszewskiego „Rewolucyoniści i patrycyusze w narodzie“ zamieścił petitem notatkę w słowach: „Autor niniejszego artykułu dzisiaj rano przez niewiadomego dotąd skrytobójcę zamordowanym został“.

Mieszkał Miniszewski podówczas przy ulicy Rymarskiej pod Nr. 8, w domu dawniej Aszera, gdzie mieściła się w oficyinie szkoła powiatowa. Mówią, że z powodu artykułu „Interesa rewolucyi i narodowości“, już na kilka tygodni przedtem, otrzymał Miniszewski wyrok śmierci, wskutek czego był przez policję strzeżony, sam zaś nosił w kieszeni rewolwer, a w rękę zawsze grubą laskę. W dniu 2 maja,

gdy się ukazał na balkonie, o godzinie 8 rano, otrzymał od nieznanego sprawcy, czy też sprawców, trzykrotne pchnięcie sztyletem w szyję, pierś i serce i padł bez jęku. Pozostał zoną, dzieci i siostrę bez żadnych środków utrzymania.

Pogrzeb ofiary odbył się w cichości nazajutrz o godzinie 6 nad ranem, w asystencyi trzech księży, siostry i kilku policyantów. Żona, złożona obłązną chorobą, konduktowi nie towarzyszyła. Margrabia wyznaczył jej zapomogę jednorazową w kwocie tysiąca rubli i pensję dożywotnią. Z razu wdowa tej zapomogi przyjąć nie chciała, ale później przyjęła.

Historyk powstania, Agaton Giller (t. II, 48), twierdzi, że zamach na życie Miniszewskiego spełniony został bez wiedzy ówczesnego Rządu Narodowego i że był dziełem organizacyi niższych rewolucyjnych czynników, które w tej sprawie na własną działają rękę.

W papierach Miniszewskiego znalazła się wykończona powieść pod tytułem: „Ciernie kwitnące“, której znawca taki, jak Leonard Sowiński, przyznaje zalety pierwszorzędne. W parę lat po zgonie Miniszewskiego była wydana w dwóch tomach, w drukarni rządowej.



132425